



## PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

Ekspedycyja główna w księgarni wydawcy  
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowinyli z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowinyli z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 30.

W W. Rs. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

### OSOBISTE WSPOMNIENIE

#### Z ŻYCIA MARYI SOMERVILLE,

przez jej córkę

#### Martę Somerville.

(Personal recollections from the life of Mary Somerville, by her daughter, Martha Somerville—London—1874).

(Dokończenie).

Jeżeli młode jej lata mają w obrazie swoim powab poetyczny, jeżeli ciekawe są dla rozwoju umysłu i inteligencji samodzielnej, dla wyrabiania się niepospolitego ducha, niemniej zajmującym jest to życie, gdy posuwając się z biegiem lat, umie być piękną, dobrą starością. *Wspomnienia* z lat przepędzonych we Włoszech mają wiele wzruszających szczegółów rodzinnego i małżeńskiego pożycia Maryi. Przy opisie wycieczek czynionych, przy opisie urzędowania sobie życia w stronach obcych, zaznaczyć się daje dziwnie piękny stosunek żony i męża, których serca i dusza równie były z sobą złączone, poślubione sobie przez uczucie nigdy zmianie nie ulegające. We Włoszech, w kraju słońca i kolorów, malarskie zamilowanie Maryi musiało odżyć z całą siłą i pisze też o tem, że używała „ogromnie dużo czasu“ na studia z natury i malowanie krajobrazów, dodając, że przez wzgląd na rozkosz doznawaną w obecności z przepysznie wspaniałą przyrodą południową, nie może czasu tego uważać za stracony. „Somerville często wtedy siedział przy mnie z książką—opisuje—albo zajmował się geologicznymi badaniami nad okolicą“ i mimowoli staje nam przed oczyma para ludzi doskonale uszczęśliwionych wszystkimi szlachetnymi stronami szczęścia ziemskiego. Córki znosiły matkę

nieznane kwiaty i zioła, dla których nie straciła nigdy zamilowania, bo to również jest jedną z cech tego charakteru, że nie nie gubił po drodze, nie pozbywał się niczego, na co zapracowała sobie młodość. Odbiegali tylko sędziwą matronę starzy przyjaciele i towarzysze pierwszych jej prac i zaszczytów: Herschel, Humbolt i inni, których śmierć zapisuje zawsze z żalem głębokim; w żalu tym czuć się daje pewna tęsknota do „stron dalekich a nieznanych“, w które odeszli. Ale śmierć męża w 1861 roku, śmierć syna w 1865 boleśniej już potęguje to uczucie. Spokojna jest, ale jak pisze do siostry męża, generałowej Elliot „czuje się zmęczoną“. Przecież i smutek jest w tej kobiecie uczuciem poddanem wyższym mocom ducha, nie szarpie się w niej, ale napełnia sobą serce i czuwa w niem nieustannie choć cicho. Córki wiernie trzymają się boku matki; owdowiała synowa przyjeżdża do niej, tak jak to niegdyś syn czynił, często i długo przebywający we Włoszech.

Niestrudzony umysł Maryi Somerville mimo sędziwego wieku pragnie ciągle jeszcze zajęcia. Bierze pod rozwagę, przetrząsa, krytykuje własne prace, które zostawiła światu w naukowej spuściznie po sobie, i spostrzega że w *Connection of Physical Sciences* dział poświęcony chemii jest najkrócej obrobionym. Marya chce go rozszerzyć, ale córki woła, aby ten umysł—jeszcze rzeźwy—miał zajęcie świeżego interesu, namawiają matkę do napisania książki nowej i pod tem natchnieniem powstała *Molecular und Microscopic Science*, ostatnie jej dzieło, niczem nie zdradzające jej późnego wieku, bo do końca posuwała się nietylko z biegiem nauki, ale była w stosunkach z uczonymi ludźmi nowego pokolenia. Tyndall i inni korespondowali z nią, przysyłałi jej swoje dzieła, komunikowali spostrzeżenia, zawsze mocno ją zajmujące.

Lecz nie tylko interes naukowy był w niej tak silny; wszystkie szlachetne uczucia jej serca żyły w niem zawsze i wzruszały je gorąco. Cały przebieg politycznych spraw włoskich, postępy pojęć

społecznych zajmowały ją żywo, jednoczyła się uczuciem serdecznym z ruchem świata, który już był dla niej tylko miejscem pobytu chwilowego. Śledziła pilnie postęp w sprawie kobiecej, korespondowała z Millem i czuła żywe współczucie dla jego usiłowań podniesienia kobiety. „Mój wiek—pisze już w 1869 r.:—nie zmniejszył we mnie gorliwego pragnienia, aby stała się kobiecie sprawiedliwość, aby zdołała się wybić po nad przesąd, który broni jej światła.“ To też podpisała się na petycyi kobiet angielskich do senatu londyńskiego uniwersytetu, o udzielanie kobietom stopni naukowych, a umierając zapisała naukową swą bibliotekę dla Laddie's College w Girton, i mocno się zajmowała losem tej szkoły, którą pragnęła widzieć taką, aby była w stanie dać kobiecie to wykształcenie wyższego stopnia, jakie mężczyzna znajduje w auli uniwersyteckiej.

Do końca życia prenumerowała i czytała wszystkie naukowe publikacje, do końca zapisuje we *Wspomnieniach* każde wyższego znaczenia odkrycie, lub wyjście dzieła i pisze:—„Jestem już obecnie stara kobieta, ogłuchła i której ręce drżą, ale Bogu dzięki oko moje widzi uszko najcieńszej igły i czytać mogę druk najdrobniejszy.“ Ostatnią swą książkę pisywała zwykle od godziny ósmej do dwunastej lub pierwszej w południe, trzymając się w tem dawnego zwyczaju, przez który oddawszy pracy autorskiej poranek, miała potem dzień wolny, dla poświęcenia go rodzinie i stosunkom towarzyskim. Tylko dawniej zabierała się do tego wcześniej—jak pisze z pewnym żalem, bo lubiła bardzo poranki i wspaniały widok wschodu słonecznego.

Godłem, które położyła na ostatniej książce, był ustęp z dzieła S-go Augustyna „Deus magnus in magnis, maximus in minimis,“ a dusza jej była zawsze silnie religijną, wierzącą mocno w Boga i ufającą Mu. Religijność jej objawiająca się w całym toku pamiętnika, przybiera czasem wyraz bardzo silny w obec wielkich widoków pięknej przyrody, których uczucie zostało w niej do końca. Natura jej,

w ogolności kochająca i wdzięczna, była taka i dla Boga: kochająca i wdzięczna. Niezmiernie wzruszającym jest dla mnie ustęp pamiętnika w dniu, gdy zaczęła rok dziewięćdziesiąty. — „Skończyłam lat 89, dziękując Bogu za jego niezliczone dla mnie łaski. Błogosławił tak mnie, jak dzieciom moim i oto gdy nadejdzie ta godzina ostatnia, która wiem, że musi już być bliska, zastanie mnie w pokoju ze światem całym, a mam nadzieję, że w pokoju również i z Nim, Stwórcą moim.“

„Jakkolwiek dotknęło mnie wiele doświadczeń bolesnych, jednak całość życia mego była — mogę powiedzieć — szczęśliwą. W młodości spotykałam się z przesadą i wstecznością pojęć, że przecież Bóg mi dał usposobienie nie gwałtowne, życie moje było mimo to łatwym. Wprawdzie dotykała mnie nieraz silnie niesłuszna postępowania mego krytyka i namiętnie cierpiałam, gdy wyrządzono niesprawiedliwość tym, których kochałam, wtedy też uczucie mego oburzenia mogło wybuchnąć gniewnie, ale nigdy nie miałam w sercu nienawiści i nigdy nie straciłam tego panowania nad sobą, które kobieta mieć powinna. Ale z drugiej strony mogę powiedzieć, że nikt nie doznał w życiu więcej dobroci ludzkiej: nigdy nie miałam wrogów, nigdy nikt nie szkodził mi zawzięcie. To też nie wyrobiłam w sobie usposobienia melancholijnego: choć czasem ciężar trosk życia przygniółł mnie na chwilę, podnosiłam się prędko; śmiałam się rzadko, ale mogłam się śmiać serdecznie i serce moje miało zdolność radowania się żywego. Krótkość czasu, jaki naturalnie mogę jeszcze przeżyć na ziemi, zajmuje teraz myśli moje: w słodkiej nadziei spotkania się z ukochanymi dziećmi memi i tymi, którzy drodzy dla mnie, mnie za drogą sobie mieli, myślę o śmierci spokojnie i z pełną wiarą w Boga.“

„Przyznaję przecież, że niekiedy żałuję tego świata z jego rozmaitych pięknością. Wierzę w niepojętą dla mnie piękność, którą spotkam u Boga, żałuję jednak tymczasem piękności błękitów nieba i morza, z cudownym ich przemian powabem, żałuję ziemi z jej majem zieleni i barwami kwiatów, żałuję nawet tych zwierząt, które są pokornymi towarzyszami naszego ziemskiego bytu.“

Jasna, czysta, miłosa istota, która mieszkała w jej łonie, umiała jej wydobyć i uwydatnić to zachwycające ją piękno świata, nauczyła ją jak zyskać sobie tę dobroć i przyjaźń ludzką, za którą dziękuje Bogu jak za łaskę. Łaską też była, z którą duch jej współpracował przeciw, ta słodycz, ta uczuciowość, ta łagodność kobieca, która nie dopuściła aby depreczając po sercach ukochanych, przemocą zdobywało sobie owe skarby wiedzy i blaski chwale, które i tak wzięła przez wytrwałość mężną w posiadanie swoje bez walk, wstrząśnień, bez rozdzielającego serce rozdziału z drogiemi istotami. Cnotą i wysokim, szlachetnym przymiotem ducha jest energia, która nie da nam zmarnować zdolności naszych, nie da się od celu swego odwrócić i niestrudzenie do niego dąży. Nie ta przecież energia bezwzględna, zimna, samolubna, która posuwając się naprzód, rwie najdroższe związki i serca swego kawały razem z niemi szarpać musi, aż jej wyrwie z piersi w całości i u kresu swego stawa zimna, bezradna, samotna, czyniąc z siebie, z wielkości swojej twardego posąg kamienny, podziwiany może ale nie kochany nigdy — ale ta energia cichej wytrwałości, która czekać umie i zyskuje sobie grunt z taką słodyczą miłosną, że nie rażąc przekonywa, nie spierając się pobija, i tam tylko opór stawia, gdzie nad prawo na nią biją, nad obowiązek chcą ją uciśnić. Marya Somerville dziękowała też Bogu pod wyrazem „łaska“ za taką energię najlepszego gatunku, za porywy szlachetne, za serce kochające — za to wszystko co razem złożyło się na żywot piękny i szczęśliwy, kończący się „w pokoju“ ze światem, z Bogiem — więc i z sobą, z duchem swoim.

Jak umiała być szczęśliwą, jak posiadała dobrą umiejętność życia, wykazuje jeden szczegół drobny. Pisząc o porannych godzinach pracy w ostatnich już latach życia, wzmiankuje: „Nie byłam przecież wtedy samotną, ponieważ był przy mnie ciągle mój mały pieszczoł, wróbelkę górski, który zawsze siaduje na mojem ramieniu, gdy piszę.“

Wróbelkę utopił się kiedyś w dzbanku wody, ale ona nie była i tak nigdy samotną. Nie przykuwając do swojej starości młodości innych, nie rozzalała się tą niemocą, która jej nie dała używać już

czynnego ruchu między wirem ludzi, rozumna, dobra, tkliwa do końca życia, zapełniała je sobie bogactwem złożonych w głębi swej zasobów. Nawet poezja nie opuściła jej o tym zachodzie żywota: Dante, Szekspir i Walter-Scott, byli z nią zawsze i otaczali kołem nieśmiertelnego piękna i nieśmiertelnych rozkoszy. Czytając Walter-Scotta, wracała się myślą do ojczystych stron Szkocji, lubowała się muzyką rodzinnego dyalektu. Wieczorami grywała w bezika z córkami, o których pisze prawie na ostatniej karcie *Wspomnień*: „Córki moje przez nieustanną troskliwość i pomoc, czynią mi lekką starość moją.“

Zaczynając rok dziewięćdziesiąty drugi, napisała: „Modry Piotrek przelatuje już nad masztem mego statku <sup>1)</sup>, i trzeba mi spodziewać się lada chwila sygnału do odpłynięcia.“

Ustęp ten zakończają pokorne słowa wierzącej: — „Ufam w nieograniczone miłosierdzie Boga, Stwórcy mego.“

Umarła dnia 29 listopada 1872 roku w Neapolu i zwłoki jej spoczywają tamże na angielskim Cemp-Santo. Śmierć przyszła do niej łagodnie i bez cierpienia, umarła nie przechodząc choroby żadnej, we śnie porannej już chwili. Prawdziwie zasnęła w Panu.

Na ziemi zostało po niej więcej niż kilka uczonych książek, został obraz szlachetnego życia — obraz pięknej, dobrej, rozumnej istoty ludzkiej.

M. Ilnicka.

## NIEWIASTA POLSKA W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA (1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Ważne założenie w powieści „Zofia i Emilia. Jej treść. — Wychowanie Zofii i Emilii. — Warszawa. Topolówka. — Brzoznów. Władysław Wieniecki. — Opis Łęczny.

„Tym sposobem wychowane u nas kobiety, uważane z dzieciństwa jako miłe cacka, potem jak istoty przeznaczone iść niewolniczo jednym śladem, nie mając nigdy samoistnienia, później nareszcie w wieku ułudzeń, uważając się same jako heroiny wdzięcznego młodości romansu, niezdolnymi się stają wypełnić istotne swoje powołanie. Tworzą dla nich albowiem z życia ludzkiego komedię. Spuszczając zasłonę, na właściwy jego cel i obowiązki i czyniąc je obcemi całej rozciągłości szczęścia i cnot, zawartych w zawodzie dobrej żony, matki, pani i obywatelki, w smutnej jej stawiają konieczności: odrabiania przez drugą połowę życia, odebranego w pierwszej wychowania.“

Z tych słów poważnych dostojnej autorki widzimy, że nie o cześć zabawkę jej tu chodzi, ale pragnie, ciężące na sercu prawdy wypowiedzieć, przekonana zaś, że wypowiedzenie ich chociażby umiarkowane w formie suchej nauki moralnej nieoddziaływa skutecznie, odziewa to w przyjemną i powabną szatę powieści. Stawia więc zajmujący a wymowny obraz z dziejów młodej kobiety, która chociaż najzaśniejszego męża miała, przy modnym i skrzywionem wychowaniu, nietylko że mu zatrula życie, ale i sama pozbawiła się szczęścia przy domowym ognisku. Smutny to i bolesny obraz rodziny, która wszystkie warunki, do przebycia pielgrzymki światowej, z zadowoleniem i uśmiechem wesela miała, a tylko jedna kobieta, stanęła temn na przeszkodzie, będąc złą żoną i złą matką.

W tym obrazie pełnym prostoty, autorka dotyka najważniejszych zadań społecznych, wykazując jak wysokie i przeważnie stanowisko zajmuje kobieta, że może być tak aniołem stróżem rodziny, jak i złym duchem, który się do upadku jej może głównie przy-

czynić nietylko pod względem majątkowym, ale i duchowym, ze szkodą następnego pokolenia.

Edward Sławiński, z odbytej po ukończeniu akademii podróży, przybywa z zagranicy do Warszawy. Charakteru spokojnego i słodkiego, przyjaciel nauk, a jeszcze więcej ludzi, z sercem szlachetnym i otwartym, poznał piękną i młodą *Delfinę Stawską*, która utraciwszy w latach dzieciństwa rodziców, wychowaną została przez swą ciotkę hrabinę Rylińską, w huczny gwarze wielkiego świata.

„Delfina w stolicy przebywając, w szesnastym roku zajaśniała całą świetnością uroczego życia poranku. Twarz powabna, kibić kształtna, nieśmiałość pełna wdzięku, coś trwożliwego w spojreniu, uprzejmego w uśmiechu, liczne do tego pochwały dawane starannemu jej przez ciotkę wychowaniu i pięknemu posagowi; wszystko odznaczało Delfinę w towarzystwie, jak to świetne zjawisko, które każdego oczy wabi i zachwyca póki nie zniknie lub spowszednieje, odświeżywszy na moment rozmowy znudzonych w mieście próżniaków. Oprócz zaś wdzięku, który zwykle przedstawia widok zaczynającej swój zawód w towarzystwie, nowej i uroczej istoty, tak wiele takowe zjawisko porusza sprężyn ukrytych namiętności, tyle wznosi pretensyi i nadziei, tyle wznieca porównań w zazdrości, iż trzeba żyć w tym ciasnym obrębie rozgorączkowanym tyłu namiętnościami, który zowią *wielkim światem*, ażeby wiedzieć, ile tak mały wypadek ruchu i wrażenia sprawić może.

„Hrabina Rylińska, ciotka Delfiny, była przytem bogatą, dawała piękne bale i lubiono w dom jej uczęszczać. Liczba więc chwalących i otaczających jej siostrzenicę znacznie się przez to wzmożyła. Drugich zaś ciekawość doprowadzoną była do najwyższego stopnia, użyczanemi od dawna pochwałami tej młodej osobie, spostrzeganej dotąd tylko u ciotki, tak milczącej, tak nieśmiałej i tak powabnej, jak pierwsza tajemnica, żywe nadzieje szczęścia w młodym wieku osłaniająca. Z niecierpliwością jedni, z zawzięcią drudzy czekali sposobności jej poznania i osądzenia. Ukazała się nareszcie w świecie i tak się wszystkim wydawała piękną i bojaźliwą, że i zazdrość poniekąd jej przebaczała, czyli raczej do dalszego sądu przyczynę tej bojaźliwości złośliwie odsyłając, przesadzonemi tymczasem pochwałami, przykre wewnętrzne uczucia, jako i swe pochlebne pokrywała nadzieją.“

Taki nam obraz autorka kreśli głównej swej bohaterki.

Sławiński uległ prędko urokowi młodej a pięknej dziewczycy. Wuj hrabia Ryliński opiekun, rad się zbyć co rychlej tak trudnych obowiązków, chętnie na związek młodej pary przystał; wyjechał więc Edward po ślubie uszczęśliwiony z żoną do ojczystego gniazda.

„Nie wiedział, ile po znajomości ogólnej świata i ludzi, możemy znaleźć jeszcze goryczy w poznawaniu charakterów kochanych od nas osób, tak mile nam się pod urokiem pochlebnego uprzedzenia przedstawiających. Doznał tego wkrótce z Delfiną. Wychowana podług niektórych ogólnych prawideł, dla kilku tylko chwil, czyli raczej dla odegrania kilku świetnych scen w życiu, słysząc zawsze: *taką się okazywać trzeba*, a nigdy *taką być należy*, nie miała wykształconych władz duszy, ani umysłu. Słabego przytem charakteru, jak zwykle ograniczona osoba, uparta jak pieszczone i popsute od towarzystwa dziecko, delikatnego zdrowia, trwożliwego umysłu, nądto siebie kochająca, ażeby drugich kochać mogła, jeszcze długo po straconych słodkich Edwarda ułudzeniach, wydawała się Delfina obcym najłagodniejszą i najlepszą żoną, kiedy już dla męża nie zostało nawet nadziei, znalezienia z nią domowej pomyślności.“

We dwa lata został ojcem. Delfina powiła córkę piękną i podobną do siebie, a w parę lat drugą.

Nieznanie i obce dla niej obowiązki matki, stawały się ciężarem coraz nieznośniejszym, bo odrywały ją od przyjemności zabaw stolicy, gdzie się wychowała i za którą tęskniła. Jak pierwsze dziecko ukochała, tak drugie przyjęła ze wstrętem, bo pozbawiło ją nieco wdzięków i znowu od rozrywek wielkiego świata wstrzymało.

Przyszło do ostrego starcia pomiędzy małżonkami, wreszcie ułożono się dla wspólnego spokoju, że Delfina ze starszą *Zosią*, o której się zdrowie szczególnie troszczyła i uważała za rzecz konieczną ciągłą

<sup>1)</sup> Przypuszczalnie „śmierć“ w wyrażeniu ludowem, jak u nas naprzykład „Kostusia.“

ją opieką doktorów otaczać, wyjedzie do Warszawy i z ciotką zamieszka, a ojciec z młodszą *Emilką* pozostanie w Topolówce.

Nastąpiło więc dobrowolne rozłączenie. Strapionemu ojcu przybyła na pociechę rodzona jego siostra *Lucya Mielińska*, pełna zacności matrona, obejmując opiekę nad *Emilką*, jakby sierotą. Była też dla niej prawdziwą matką.

Jaraczewska teraz w malowniczych obrazkach ze szczegółami najdrobniejszymi, przedstawia nam wychowanie obu dziewczątek, w mieście i we dworze wiejskim, wyrabianie się ich charakterów i usposobień. *Zosia* wstępowała w zgubne ślady swej matki — *Emilia* prowadzona była starannie przez ojca i ciotkę, ażeby wykształciła się na kobietę — obywatelkę.

Po ośmiu latach ciągłego mieszkania w Warszawie, zawitała pani *Sławińska* do Topolówki ze starszą córką. Spotkanie siostr i stosunek ich wzajemny, mistrzowskiem piórem skreślony, stanowi wielce zajmujący i pouczający ustęp w tej powieści.

Daremnie mąż stroskany, pragnął małżonce uprzyjemnić pobyt w gnieździe ojczystem. — *Delfina* zateśkniała do gwaru miasta i jego rozrywek, z radością też utajoną opuściła dwór w Topolówce.

*Zofia* wyrosła już na pannę na wydaniu, dziewiętnasty bowiem rok życia liczyła. Z boleścią dostrzegła, że matka usuwa ją z towarzystwa: nie pojmując iż próżna *Delfina*, zazdroszcząc wdzięków córce, pragnęła utaić swój czwarty krzyżyk wieku, który się już z wielką dla niej boleścią zaczynał.

Bolało to piękną dziewczę, traciła miłość i szacunek dla swej rodzicielki i dawała jej to uczuć. Straciwszy do niej zaufanie, pokochała młodego *Adolfa Celimskiego*, dalekiego krewnego wuja swej matki i nie tała swego uczucia, co było wielką dla *Delfiny* goryczą, bo miała inne widoki dla wydania swej córki.

W innym świecie, w innym otoczeniu wyrastała *Emilia*.

W sąsiedztwie Topolówki zamieszkiwała sędziwa wojewodzina w *Brzoznowie*, a przyjaciółka szczerą jej ojca. W tym domu przesiąkniętym atmosferą miłości, pobożności, pracy i poświęcenia nabierała jeszcze więcej wykształcenia duchowego, przyuczając się wczesnie do zajęć tak właściwych polskiej ziemiance. W szkółce wiejskiej uczyła dziać, nie tylko z jednego siola doglądała chorych w szpitalu, była radą, opieką, wsparciem i pomocą biednych i opuszczonych.

Czerstwa i zdrowa, wczesnie te zajęcia uważała za święte obowiązki, jakie Bóg nakazał względem swoich bliźnich, to też ją powszechna miłość, szacunek i uwielbienie wszystkich otaczały.

Złamana wiekiem zagna wojewodzina umarła; pałac zawsze gościnny, teraz zajaśniał pochodniami jej pogrzebu.

„Zal *Emilii* (pisze autorka), wstrzymywany jedynie chęcią oddania usługi zmarłej przyjaciółce, po krzepieniu po jej stracie, zasłużonych starców i zaspokojenia troszczących się o nią ojca i ciotki, wybuchnął w całej swej żywości, gdy rozrzewniony enotliwy *Brzoznowski Pleban*, przy spuszczeniu trumny do grobu, ostatni raz przemawiając od zmarłej czule wszystkich pożegnał.

„Wypadła wtedy z drżącej ręki starego szafarza *Tomasza*, chwytając się świeca; zemgląła w tym okropnym momencie, cichy jęk wydawszy, zgrzybiała i przywiązana do swej pani *Panna Kunegunda*, której nikt nie widział ani jednej łzy wylewającej, póki ją ostatni raz do trumny nie ubrała i do ostatniego nieodprowadziła mieszkania. I *Emilia* już własnych uczuć dłużej przytłumić nie mogła. Wróciła z mocną gorączką do domu i pierwszy raz gwałtowną słabością, opłaciła pierwsze doznane w życiu nieszczęście“.

Dziedzicem całego majątku na mocy testamentu zgasłej wojewodziny został wnuk jej *Władysław Wieniecki*, który kończąc kurs agronomii w *Szwajcaryi*, zatrzymał się rok jeden za granicą. — Jakoż w oznaczonym czasie przybył do Warszawy i zachwyił się pięknnością *Zofii*, ale było to tylko przelotne wrażenie, o którym zapomniał, kiedy wyjechał do starej siedziby swej ukochanej babki.

„Ujrzał *Władysław* zbliżając się do *Łęczny*, (taki nam obrazek kreśli *Jaraczewska*) zielone łąki, po których jak srebrna wstęga kręty *Wieprz* się wije; rozrzucone gdzieniegdzie krzaki, samorodnymi uplo-

tami powoju uwieńczone; swobodnych wieśniaków *wędki* lub *więcierze* zarzucających w rzekę i liczne koło nich pasące się trzody; słyszany zdaleka odgłos fujarek dodawał jeszcze wdzięku tej wiejskiej scenie. Wkrótce, dojeżdżając do *Łęczny*, zupełnie zmieniła się okolica. Zabiegi przemysłu wszystkiemu inną nadawały postać. Postępowały zwolna siwe ukraińskie woły, szły luzem piękne konie derami starannie przykryte, prowadzili równie na sprzedaż i swoje bydełko pracownicy wieśniacy.

„Widać było przy wyprzężonych powózkach, około dużych rozpalonych ognisk, dziwaczne popasujących *markietanów* grupy; zdaleka zaś dzikich koni tabuny, z szybkością i zręcznością właściwą mieszkańcom wolnej ziemi, goniąc się lub pierzchając kolejno, fantastyczne, w różnych obrotach, tworzyły igrzyska.

„Spotykał ustawicznie *Władysław* ciężkie bryki kupieckie szwargoczącymi napełnione żydami; skromne wózki, starożytne kolaski, w których jechali drzemiąc, lub wolno rozmawiając, ubrani starcy i modniejsze bryczki, szybko niesione, w poręcz zaprzężoną czwórka, w której siedzieli głośno rozprawiając, z czapeczką na bakier, zapuszczonemi wąsami i zapaloną lulką, zawołani jarmarczni amatorzy. Widział także nieustannie idących wolno ubogich dziadków, *Rzeszowskich* żydów z galanteriami, *drelicherzy* z *Jedrychowa*; przemysłnych, szenekatarynką obciążonych wędrowników i piskliwie swój towar zalecających *preclarzy* (sprzedających obwarzanki). Ogółem, wszędzie wjeżdżając do tego jarmarcznego miasta, w którym jak w filozoficznej allegoryi, wszystkie pomieszkania są tylko zajędnemi domami, widać było ruch i pośpiech, ciekawość i odurzenie, skwapliwą chciwość, lub niespokojną zysku nadzieję“.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## SOFONISBA

### TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

**Emanuela Geibla**

przełożył z niemieckiego

**Józef Grajner**.

(Dalszy ciąg).

### AKT V.

(Główna kwatery *Scypiona* w *Massylis*. — Dekoracje te same co na początku aktu III. — Zaslona niszy opuszczona, druga podniesiona. — Noc. — Kandelabry po rogach. — Zewnątrz obóz. — Straże i t. d.)

#### Scena 1.

*Scypio* po lewej stronie pisze na stole, na którym są zwoje pargaminu, mapy i lampa. — Po prawej, ku przodowi sceny *Sewer*, *Atarbas* i inni rzymscy i numidyjscy przywódcy rozmawiają pocichu; obok niszy *Flawiusz*. — W chwili podniesienia kurtyny występuje *Sextus* z głębi sceny, a spostrzegłszy w przejściu zajętego *Scypiona* wita po wojskowemu *Sewera*.

SEWER

Cóż tam?

SEXTUS

Z patrolu wrócili strażnicy.

SEWER

Donoszą?

SEXTUS

Nie tak ważnego. Zdaleka Raz im się zdało słyszeć pęd konnicy; Lecz zbliżka patrzą, aż to w cwał ucieka Rój strusiów, które skrzydły rozwartemi Jak strzały warczące, pędziły po ziemi. Ostatni poległ, — pyszny ma strój z pierzy.

SEWER

Zresztą nie?

SEXTUS

Owszem, posłowie przybyli Od *Massynissy*. Zaniemógł i leży Książę *Numidów*; chce on konsulowi Prosbę przedstawić jutro w rannej chwili.

SEWER

Mnie to już zostaw. Nie przeszkadzaj wodzowi; Pisz do *Rzymu*. — Co za powód krzyków Był tam w obozie naszych sojuszników? Czy wiesz?

SEXTUS

*Celtyber* jakiś podchmielony Ubliżył dziewczę, która z górskiej strony Zwykle im wino, oliwę nosiła; Więc go, wyrwawszy nóż z włosów, przebiła, I znikła w górach. Te, coś słyszał krzyki, Był to zapewne nad zmarłym wrzask dziki Jego rodaków.

SEWER

Tak się karzą sami, Ze się zadawać chcą z cudzoziemkami.

(*Sextus* oddala się na znak odprawy.)

SEWER (podchodząc do innych przywódców)

Jak widzę, żądła puszczają tu one, Gdyby skorpiony.

ATARBAS

Tak, gdy rozdrażnione, Zwykle są ciche, i z piękności słynne.

SCYPIO (powstając)

Dość na dziś! Jutro spełnię rzeczy inne. Która godzina?

SEWER

Gwiazdy północne świecą.

SCYPIO

Od *Leliusza* jest co?

SEWER

Nie.

SCYPIO

A z brzegu,

Od *Hadrumetu*?

SEWER

Też nie.

SCYPIO

Wiatry lecą

Z północo-wschodu. Mogą nam w swym biegu Przynieść nowiny.

SEWER

*Massynissa*.

SCYPIO

Rano

Chce ze mną mówić, tak wam powiedziano. Słyszałem. Teraz, czas wam skłonić głowę Do snu, druhowie.

(*Starszyzna* oddala się, — zaslona u wejścia opuszcza się za nimi. *Flawiusz* odsłania niszę, w której widać połowe łożko).

#### Scena 2.

*Scypio*. — *Flawiusz*

SCYPIO

Zgaś świece woskowe, *Flawiusz!* i pomóż zdjąć zbroję.

FLAWIUSZ

A może

I coś z Homera przeczytać?

SCYPIO

Odłożę

To na czas inny. Dziś mój duch w niemocy.  
Dzień zszedł mi bez tehu, i ostatniej nocy  
Zbyt krótko spałem.—Weź ten pancerz oto!  
Spłoszył mnie dziwny sen.... Przyniła  
Się mi kobieta pyszna, z szatą złotą  
I pstrą koroną, a podobną była,  
Do tej, co w herbie Kartaginy stoi.  
Weszła w mój namiot i krzepką prawicą  
Wściekle do szyi przypięła się mojej.  
Ot, jeszcze kole ten!—W walce z napastnicą  
Przygniótł mnie wyraz straszliwy jej wzroku,  
Wysłał mi siłę z serca, a z nią technienie  
Ostatnie z piersi—gdy w tem nagle, z boku  
Grom w nią uderzył,—krzyknęła szalenie  
Puszczając gardło,—krzyk ten mnie ocucił.

FLAWIUSZ

Panie, to miesiące zwykł takie sny rodzić.

SCYPIO

Nie świecił wcale. Gdym wyszedł pierś schłodzić  
Przed namiot, w eichem gwiazdy wzrokiem rzu-  
[cił,  
Blask się ich kapał w kropłach wonnej rosy  
Wśród gór i dolin,—a tam, pod niebiosy  
Orzeł uleciał.

FLAWIUSZ

Jest to znamię wieszczę  
Nowych tryumfów.

SCYPIO

Niechże się niem stanie!

*(Zwraca się ku niszy)*

Dobranoc Flawiusz, Zgaś tę lampę jeszcze!  
O świecie zbudź mnie.

*(Kładzie się na łożu)*

FLAWIUSZ

Śpij spokojnie, panie!

Ja przed namiotem na lutni zadzwonię,  
Wiem, że to lubisz.

*(Uporządkowawszy płaszcz i zbroję Scypiona, chwytając za lutnię)*

Tylko, jak to brzmiała

Ta nuta, niegdyś w tak miłym mu tonie?  
Raz Maurytanka w czólnie ją śpiewała;  
Ton jej dość smętny, jakby owe fale  
Szumiące zwolna przy nadbrzeżnej skale.

*(Po kilku dotknięciach lutni, wychodzi, grając)**(Przerwa, zapełniona tylko melodią krótkiej pieśni)**(Scypio śpi. Pod koniec pieśni otwierają się cicho drzwi na prawo i pokazuje się Sofonisba)*

## Scena 3.

Sofonisba. — Scypio *(śpiąc)*

SOFONISBA

Dokoła ciszał Jego sen głęboki.  
A więc do dzieła. Serce, stłum me drżenie,  
Wszak masz wykonać wyrok bez odwołki.  
Co? i muskuły drżą mi? Ja was zmienię  
W spiż!

*(Przystępuje do stołu)*

Mroczny ogniu, pójdź, oświeć błyskami  
Ciemny czyn, drogę wskaż prawicy mojej  
Do jego serca!

*(Gdy chwytając za lampę, wzrok jej pada na list Scypiona)*

Ha!—Czy wzrok mnie mami,

Widzę-ż, co nie jest? Tu me imię stoi!  
Precz, śnie gorączki! Nie, oko nie myli,—  
List, w nim me imię! Czyż się chełpić sili,  
Jak niesłychanie zwiódł mię?—Wielkie bogi,

Tu znak wasz jawny! W jego pysze srogiej  
Ja mam swe ramię shartować, by z chwili  
Strasznie skorzystać!—Zobaczny-ż, co pisze  
O barbarzyńskiej kobiecie w swej pyszel!

*(Chwytając kartę i czyta)*

„Co Sofonisby dotyczy, zostawcie  
Mi wolną wolę. Wyniosła to pani,  
Godna Rzymianką zostać. Pragnę błagać  
Bogi Olympu, by w jej sercu dla mnie  
Przyjaźń zrodziły. I jeśli ma gwiazda  
Z tryumfem kiedyś w Kapitol mnie wwieździe,  
Będę się pysznił, gdy wskażę ludowi  
Tę świetną postać w całym majestacie,  
Jak sprzymierzoną, którą dlań zyskałem.“

*(Czytając w końcu drżącym od wzruszenia głosem, teraz wybucha niezwykłą radością)*

Więc mnie nie zdradził! Dzięki wam bogowie!  
Życzliwość dla mnie w każdym technie słowie!—  
A ja?! Och, zgrozo! ja zbroję me dłonie  
Tu, tym sztyłem?—Precz, żelazo niecne!  
Palisz mnie żarem!—Zbudź się, Scypionie!  
Wstań, Scypio, tu mord i zdrada obecne  
W namiocie twoim, powstań, sądz mnie srogo!

*(Zwraca się ku niszy)*SCYPIO *(wychodząc)*

Tu, Sofonisba?

SOFONISBA

Ja, którąm złowrogo  
Chciała cię zabić; lecz geniusz twój, panie,  
Dłoń tę ochronił, i o ziem' rzuconą  
Tłoczy mnie, blaskiem twoim oślepioną.

SCYPIO

Kobietko dziwna!

SOFONISBA

Nie czas na badanie!

Każ, niech tu liktor krwawy sąd wykona!  
U nóg twych, sama przez się oskarżona  
Błagam o wyrok.—Me życie spełnione.  
Czegóż odwołasz?

SCYPIO

Wstań i złóż podziękę

Bogom, że strzegły od mordu twą rękę.  
I jam im wdzięczny. Cudowną osłonę  
Dały mi we śnie. Tak, dysząc bezpiecznie  
Sądzić i karać nie chcę, nie mam woli.  
Idź!

SOFONISBA

Czyż, potężny, wiernys sobie wiecznie?  
Nie chcesz mnie karać, druzgoczesz atoli  
Mnie swą szczytnością. Och, czyż śmierć się może  
Zrównać z uczuciem, że ja nędzna, mała,  
Niegodną ciebie byłam. Jam cię znała,  
A przecie w płonnym zdeptałam pozorze  
Tę wiare w ciebie. W tę samą godzinę,  
Gdyś o mnie myślał tak wniośle, wspaniale,  
Jam cię uznała za straszną gadzinę,  
Dopóki wzrok mój błędny, w mordu szale,  
Prawd jasnych z pisma tego nie wycisnął,  
A twój półboski, czysty obraz błysnął  
We mnie piorunem!—Obym tym promieniem  
Strawioną była jako ogniem z chmury!  
Teraz się sama niweczę brzemieniem  
Myśli, że wzgardził mną jedyny, który  
Mą duszę k'sobie skłonił—

SCYPIO

Tak nie będzie!

Boleść twa mówi, że to nie marzenie,  
Gdym w tobie serce poczuł mi rodzone.  
Trwam w mem przecuciu. To zdarzenie  
Niech jak sen nocny będzie osądzone.  
Niech się rozwieje.—Idź więc, pocieszona,  
I wyrwij ślepą swą nienawiść z łona  
Dla Rzymian!

SOFONISBA

Dla Rzymian? Daremno!  
Wszystko już na nic! Miałam zapomnienia

Chwilę, eżem jestem, gdyś stanął przedemną  
Sam jeden i sen cichego rojenia  
O pojednaniu wpelził mi w serce mile.  
W tem mnie obudzasz,—i w strachu, dokoła  
Ten sam świat niezgód widzę w dawnej sile.  
Z dłonią wyrzutów Kartagina woła  
Do córki swojej. Gdy zbiegnę nikiemnie,  
Cienie mych przodków wystąpią przedemnie  
Ponure, z groźbą na czołach tajemną.  
Słyszysz?... Jak gromią, że powinna drogę  
Opóźniam, skarżąc o zdradę,—daremno  
Kuszę się gniew ich ukoić,—nie mogę.  
Jam winna wrogiem pozostać ich wrogów.  
Biada! Mejdższy pragną z ziemskich progów,  
I niebłaganie ciągną łańcuchami  
Z brylantów, wbrew mej woli, ku swej stronie,  
Bezsilną.—Każ mię stracić, Scypionie!  
Bo żadnej zgody niema między nami.

*(Upada przed nim)*

SCYPIO

Gorączka snu cię wikła. Rzuć rojenia!  
Jest potężniejszym życie niż marzenia.  
Jam cię w twem sercu poznał dostatecznie,  
I wierzyć nie chcę, by nam los na świecie  
Kazał żyć w sobą w nienawiści wiecznie.  
Bo choć krew twoja kartagińska, przecie  
Duch wzniosły po jej ciemnej fali płynie,—  
On ci od Boga nie przez ojca dany  
Wolną spuścizną, w ludzkości dziedzinnie  
Z żadnym narodów szczepelem nie związany.  
Przez tego ducha, co, jak Fenix nowy  
Z powietrza zrodzon, wszelki szczyt domowy  
Ma swoim gniazdem, jam z tobą pokrewny,  
Ufny węń, wołam, przyjaźni twej pewny  
Jestem!

SOFONISBA

Och, Scypio!—

*(Dokończenie nastąpi.)*

## HISTORIA

## O JANASZU KORCZAKU

## I O PIĘKNEJ MIECZNIKÓWNIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

*(Dalszy ciąg.)*

Był to pierwszy prawdziwie szczęśliwy wypadek  
od rana. Ludzie Miecznikowej powitali go radośnym  
okrzykiem. Jabłonowski usłyszawszy to, pobiegł  
do Janasza, który już znowu śmigownicę ładował.

Słońce wschodziło po nad otaczające wzgórza,  
wiatr poczynał ustawać; tatarska orda skupiona  
zdawała się rozważać: co czynić i czekała na rozka-  
zy.... gdy z lasu ukazało się wypadających jeźdź-  
ców kilku. Miotali rękami i krzyczeli coś zdala.  
Krzyk ten podawany z ust do ust poszedł aż pod  
zamek i po nim nastąpiła chwila milczenia. Tym  
stał wryty.

Nagle co żyło z zamku się wysypywać zaczęło,  
przeganiając, tłocząc, arkanami łapiąc rozbiegające  
się konie. Opóźnieni jakby z trwogą zaczęli ucho-  
dzić, wpadając do parowu, który się wypełnił tą  
zgrają, a już na przeciwnym brzegu wydrapywali  
się zeń inni i biegli ku tabunom i obozowisku.

Nie można było zrozumieć co zrodziło ten popłoch  
nagły i ucieczkę. Na zamku stali wszyscy jakby  
cudem zdumieni, niedowierzający oczom swoim....  
Nikt się nie śmiał ruszyć jeszcze z miejsca. Jabło-  
nowski wołał, że to jest podejsie i że temu dowie-  
rzać niepodobna. Lecz na dolinie niektóre kupy już  
rychlej gotowe gnały ku wąwozom. Tam gdzie stał  
namiot Murzy Szejtana widać było ruch największy.

Z górnego piętra wieży stojąca w oknie Agafia,  
dostrzegła człowieka, którego z obnażoną głową

prowadzono ze związanymi w tył rękami, na arkanie na szyję zarzuconym.

Nie można było poznać ani domysleć się twarzy, ani ubioru.... a jednak oczy kobiety przyglęły do tej postaci, w której czuła Dorszaka. Ona jedna widzieć go w niej mogła i widziała.

Tatarzy w pośpiechu siadali na konie, jeden tylko czekał, aż przyprowadzono przed niego chwyczonego na arkan człowieka.

Stali przed sobą ci dwaj chwilę. Jakby zwołany podbiegł trzeci.... mignęła mu w rękę szabla i głowa stojącego potoczyła się na ziemię, kadłub zachwiał się i padł. Tatar przypadł do głowy, chwycił ją za włosy, podniósł do góry i przywiązał do konia. Wszyscy dosiadali koni, niektórzy biegli już ku lasom, inni zbijali się w kupki. Agafia patrzyła stojąc jak wryta, twarz jej jakby płomieniem oblała się krwią i zbladła jak marmur, oczyma wiodła za Tatarem, który głowę unosił, obłąkany jej wzrok ściagał go, szukał, ginał w tłumie i znajdował go znowu.... tak szła za nim aż do podnóża gór, aż do wąwozu, w którym znikł....

Westchnienie dobyło się z jej piersi, ręką potarła po czole, oczy zwróciły się w ten punkt, gdzie jak czarna plama leżało ciało w kałuży krwi, patrzyła teraz na nie i wzroku odeń odwrócić nie mogła. Posągami się stała bezmyślnym.... skamieniałym. Lecz ani jedna łza kropelka nie pociekła z jej oczów.

Gdy Tatarzy zapędzali się po bałkach uchodząc, z wąwozu naprzeciw ukazała się biała chorągiew i głucho odezwały się dwa kotły. Za niemi jechało kilkadziesiąt koni i sunęła się zbrojna piechota. Przodem w swej czerwonej oponczy, w miśsiurce na głowie, ręka w bok, jechał pułkownik Duleba. On i jego konnica puścili się zaraz za uciekającymi Tatarami pogonią ku górcom, ale ich doścignąć nie mogli.

Janasz ujrawszy chorągiew i usłyszawszy kotły, krzyknął zwracając się ku pani Miecznikowej:

— Górą nasil górą nasi!

Na całym zamku okrzyk ten echem się odbił. Lud przed chwilą na pół umarły ze strachu, zrywał się na nogi, inni klękali na modlitwę. Korezak kamieniem zawałoną bramę oczyszczać kazał.

Agafia stała jeszcze w oknie.

Ku temu miejscu, w którym leżało we krwi ciało, zbliżał się oddział Duleby. Chorągiew przystanąła. Kołem okrążono trupa. Ludzie z koni patrzali nań długo.... potem nadeszli piesi i otoczyli go kołem. Agafia drgnęła, poruszyła się i szybkim krokiem wyszła z izby. Nie patrząc przed siebie, puściła się ze wschodów, przez tłum przebijając się przeszła podwórze. W bramie wdrapała się na kamienie i spuściła z nich do furty.... Potem widąc ją było wychodzącą z zamku, brnącą przez parów i ciągle z oczyma wlepionymi w jeden punkt, idącą wprost ku trupowi.... Jakaś siła nadprzyrodzona zdawała się ją ciągnąć i prowadzić. Wojskowi jadący ku zamkowi ustąpili jej z drogi, nie spojrzawszy na nią — nie widziała pewnie że ich ominęła....

Na kilka staj od trupa stanęła, ręce załamała opuszczone i znów, parta naprzód, poszła.

W miejscu ubitem kopytami tatarskich koni na tokowisku leżało ciało Dorszaka bez głowy. Krew po części w ziemię wsiąkła, w części zgęślała czarną prawie kałużą. Ręce miał jeszcze sznurem związane.... Agafia siadła naprzeciw niego, podparła się dwiema dłońmi, patrzyła znowu, jakby nasycić się chciała tym widokiem.

Wrażenie tej pierwszej chwili po oswobodzeniu od niebezpieczeństwa które się zdawało nieuniknionem, od groźby śmierci którą wszyscy mieli przed oczyma — porównać chyba można do przebudzenia się człowieka po śnie i duszącej zmurze, gdy nagle otwarty oczy ujrzy światło, zobaczy błękit niebios, posłyszysz ptactwo śpiewające pieśni poranne, gdy mrok grobowy, co mu ugniatał powieki rozprzerchnie się jakby cudem.

W kaplicy zapalono świece.... Ks. Żudra prowadził ich przed obraz Chrystusa, wołając na kolana! na kolana! Za nim cisnęli się wszyscy. Przodem szła Miecznikowa z córką, za nią Kasztelanica, Janasz, Nikita, hajducy, ludzie Kasztelanica. A że kapliczka była szczupła, napełnili pokoje, sienie i wtórowali pieśni, gdzie kto stał. Przeszła ona w podwórze i podwórzec rozlegał się dziękczynieniem.

Ludzie, którym pilno było na swe zgłiszczu, wysypywali się już z zamku, biegnąc ku miasteczku. Tym czasem p. Duleba z odsieczą przybywszy nad parów, w kotły kazał bić i na rogach grać, bo innej muzyki wojskowej nie było. Z drugiej strony wąwozu nadbiegający ludzie witali zbawców okrzykami. Do zamku dostać się inaczej nie było można, jak brnąć przez parów. Zaczęto myśleć o położeniu kładek do przejścia. Duleba nie wiele myśląc konia porzuciwszy, ważył się brnąć do kolan prawie w wodzie, aby prędzej na zamek się dostać.

Skończone już było nabożeństwo i ksiądz Żudra wyszedł naprzeciwko niego.

Duleba właśnie z błota wyłaził.

— Witajcie nam, witaj pułkowniku, zawołał — w samą się porę przybyli, aby nam życie ocalić — zawołał. Dolny zamek już był zdobyty, trzymaliśmy się na górnym opieką boską raczej niż siłą własną. W kilka godzin później jużbyś nas nie zastał.

— A kwadrans wprzódy, Bóg świadek przybyć nie mogłem — rzekł pułkownik wydobywając się z parowu. Zanimem siłę moją rozproszoną zgromadził, zanim tyle zebrał, żeby móżdż tej szarańczy stawić czoło, upłynęło czasu dosyć. Dowiedziałem się od szpiegów, że się ta dzicz tu ze wszech stron złała. Z lada czem się porwać nie było można.

— Cośmy tu doznali od wczorajszego wieczora, język ludzki nie wypowie — zawołał ksiądz Żudra. Dopomagał nam Kasztelaniec Jabłonowski i jemuśmy też po części winni, żeśmy się tak długo trzymać mogli. Nigdyby napaść tak upartą i obrachowaną nie była — gdyby ich Dorszak nie prowadził.

— Ostatnia to jego wyprawa — rzekł Duleba.

— Zginał? — spytał ks. Żudra.

— Tatar go ściał, trup leży na dolinie.

— Mściwa ręka Boża! westchnął ksiądz.

— A Dorszakowa? — spytał Duleba.

— Mówiono mi, że oto nie dawno z zamku wyszła.

— Dokąd?

— Nie wiem.

Pułkownik uganiał się właśnie za Tatarami, gdy przebywała dolinę, aby się dostać do trupa, dlatego nie spotkał jej i nie wiedział o niej.

Szedł tedy prowadzony przez ks. Żudrę na zamek pułkownik.

Tu na górze zastał wszystkich zgromadzonych około stołu, bo w czasie napadu nikt w usta nie nie wzięł i z głodu marli teraz wszyscy.

Przyjęto go okrzykiem. Duleba stanął w progu miśsiurkę zdejmując z przywitaniem starem.

— Niech-że będzie pochwalony....

— Na wieki! — odpowiedziała zbliżając się Miecznikowa. Niech będzie pochwalony na wieki ten, który cuda sprawia i niegodnych dłońią swą wszechmogącą ratuje.

Sklonił głowę Duleba.

— Trochem się spóźnił, Miecznikowo dobrodziejko, począł stękając — ałem to już ks. Żudrze tłumaczył — nie sposób było z małą garścią iść na tę szarańczy, a ludzi musiałem zbierać po nad granicą. Chwilim nie stracił — a tu słyszę było gorąco.

— Jużeśmy żadnej ocalenia nie mieli nadziei; tylko było patrzeć śmierci — odezwała się Miecznikowa. Ksiądz Żudra przystępował z lampeczką.

— Pułkowniku, za wasze zdrowie!

Kasztelanica, który był zupełnie przyszedł do siebie i już dworował wesoło, przystąpił też do pułkownika. Podali sobie ręce.

— Najpiękniejszą chwilę mojego życia winienem wam, rzekł — gdybyście wy mi nie powiedzieli, nie przybyłbym tu i nie miałbym szczęścia stanąć do usług pani Miecznikowej.

Mówił o matce a spojrzawszy na córkę. Jadwisia, jakkolwiek szczerze wdzięczna, nie odpłaciła mu wdzięcznością. Spuściła powieki i powoli je podnosząc, podniosła na Janasza, który stał w kątku skromnie, oparłszy się nieco o ścianę, bo znowu po przebytem niebezpieczeństwie, czuł że mu na siłach zbywa.

Byłby odszedł może, urok go tu trzymał jakiś, nie mógł się ruszyć. Jadzia spoglądała na niego.

— Kiedyscie tu wszyscy panowie razem, prosząc siedzieć, poczęła pani Zbońska — dajcie mi radę powiedziecie co czynić mam! Chciałabym te strony opuścić, potrzebuję odetchnąć, a sama na nie się tu nie przydam. Ale jakże wyruszyć ztąd, czy bezpieczne drogi? czy....

— Pani Miecznikowa pozwoli — wtrącił Kasztelanica — ażeby ja jej z ludźmi moimi służył jako

straż i osłona. W tej stronie ku Konstantynowu nie możemy się obawiać napaści. Dosyć będzie kilkunastu koni, a do pierwszej stacji i pułkownik przecie doda nam od siebie ludzi.

— Sam jeśli trzeba służę — odparł Duleba.

— Lecz niech ludzie wypoczną — odezwał się ks. Żudra, kilka dni musimy przynajmniej po tych kilkunastu godzinach dychać, aby siły odzyskać. Janasz ranny i zmęczony. Nikita już się położył, znajdują się i inni.

— A któż zaręczy, że Dorszak nie przyprowadzi ich tu znowu! — odpowiedziała Miecznikowa.

— Za Dorszaka to ja ręczę, mością dobrodziejko — odezwał się Duleba. Wątpię, żeby go z tamtego świata puścili ci, którym *legitime* dusza jego należy.

— Jakto? — zawołała Miecznikowa — ja nie nie wiem.

— Tatarzy są ludzie prędko ekspediujący — mówił Duleba. Naprowadził ich tu, pościagał, zaręczył znać za znaczną zdobycz i jenców. Nie udało się. Sąd doraźny *stante pede*, arkan na szyję, i nim ztąd odjechali, ściał go, ot, tam w dolinie. Gdzie wina tam i kara. Łaska i to Boża dla nas wszystkich, bośmy się od łotra uwolnili, a i żona jego odetchnie.

— Ale Tatarzy!

Duleba głową potrząsał.

— Nie przyjdą a przynajmniej nie tak rychło. Zameczek trzebaby oprawić, zda się.

— I kogóż w nim zostawić! Komu powierzyć! Zapytała jakby sama siebie Miecznikowa.

Był moment milezenia.

Janasz ze spuszczonego stał oczyma, podniósł się zwolna i cichym głosem się odezwał:

(Dalszy ciąg nastąpi).

## WYPRAWA AUSTRYACKA POD BIEGUN PÓŁNOCNY.

(Dokończenie).

Najdłuższa wycieczka na ląd trwała cały miesiąc. Payer w opisie jej bardzo pobieżnym zapełnia więcej szemat przestrzeni niż czasu. Kraina jest rozległa. O ile ją dotychczas poznano, rozciąga się od 67° 39' do 87° 38' długości wschodniej i od 80 do 83 szerokości północnej, ma zatem wszcz od północy do południa mil 45, wzdłuż zaś od zachodu na wschód mil 44. Gdyby można było przypuścić wszędzie wymiary jednakowe, otrzymalibyśmy na ogólną rozległość, od brzegu do brzegu, około 2000 mil kwadratowych. W tę krainę wrzyna się w kierunku południkowym (północno-południowym) zatoka podobna do cieśniny, długa na 100 mil morskich, u spodu rozszerzona bardzo znacznie; w tem miejscu szerokość jej ma do 80 mil morskich dochodzić. Późniejsze poszukiwania przekonają może, iż ta zatoka nazwana *Austria-Sund*, jest rzeczywiście cieśniną i łączy morze Szpicberskie z częścią bar dziej północną Oceanu Biegunowego. Na zundzie pełno jest wysepek i fiordów przybrzeżnych. Część wschodnia, z prawej strony zundu leżąca, jest rozleglejszą od zachodniej; wschodniego krańca nowo odkrytego lądu dojrzeć nie było podobna z wysokości nawet wierzchołków. Trzy odrębne ziemie wyróżnia Payer z całości, nie przesadzając bynajmniej ich wyspowej postaci: *Zichy-Land*, *Wilczek-Land* i *Kronprinz-Land*. Z tego co dotąd wiemy, położenia ich tak bezwzględne jak i jednych w stosunku do drugich, oznaczyć jeszcze nie można. Kraina odkryta najprawdopodobniej jest, jeśli nie jedną wielką wyspą, to archipelagiem wysp mniejszych. Najmniej uzasadnionym wydaje się domysł, aby była południową częścią stałego lądu, mającego się wrzekomo znajdować na samym biegunie. Kto wie, czy nowe odkrycia nie wykażą, iż ląd Payera należy do jednej grupy wysp z *Gillis-Land*, ziemią odkrytą jeszcze w r. 1707, lecz tylko ze strony zachodniej od Szpicbergu; strona jej wschodnia była dotychczas nie znana. Krańce zachodni ziemi Gillisa leży pod 48° szerokości północnej, czyli nie o całe dwadzieścia stopni, cokolwiek więcej nad

mil 40 od takiegoż krańca nowo odkrytego ładu. Przypuszczenie występuje ze znamionami prawdopodobieństwa.

Kraj jest górzysty. Od południo-zachodu góry mają 5, w stronie północnej 3, a najniższe na samym południu dochodzą do 2 tysięcy stóp wysokości. Śniegi i lody wiekiste je pokrywają. Wulkanów nie dostrzeżono. Charakter geologiczny gruntu odmiennym jest niż na Spitzbergu i Nowej Ziemi, a zbliżonym wielce do panującego we wschodniej Grenlandyi. Skały głównie z granitu bazaltowego, dolerytu, kładzonego warstwami utworzone, są bardzo strome, mają podobieństwo do kolumnad piętrzących się jedna po nad drugą. Cała wzgórzystość kraju, to jest: stosunek wyniosłości w nim do powierzchni, przypomina Abissynię. Bazalt występuje wielkimi massami. Obok płaskowzgórzy mających przewagę w upostaciowaniu gruntu, znajdują się także i doliny; o tych jednak Payer w pobieżnym sprawozdaniu swoim nie wiele wspomina. W środku kraju ciągnie się wzduż na mil 15 wielki lodowiec, któremu dano imię: *Dove-Gletscher*. Na nizinach panuje wilgoć niezmierna. Ziemia szronem pokryta wygląda, jak gdyby ją posypano cukrem; błyszczy się w słońcu i mile wpada w oko. W zachodniej stronie ładu powierzchnia ziemi czarna, wolna zupełnie od lodu lub lekko tylko przymarznięta. Na fiordach także lód cienki. Roślinność zrzadka występująca jest bardzo słaba; składają się na nią mchy i najpośledniejsze porosty. Ptactwa gnieździ się wiele po szczelinach skał; niezawodnie tak jak i na Nowej Ziemi, odlatuje ono po ustaniu pory cieplejszej, na południe. Przypominamy, że podróżnicy zwiedzali kraj już wtedy, kiedy słońce weszło było na horyzont, a wracali do statku w porze, kiedy już wcale z horyzontu nie schodziło. Uwagę podróżników zwróciły na siebie piękne mewy różowe; w ogóle naliczono do osmnastu odmian tego ptaka. Dziwna rzecz! ptactwo leciało dalej jeszcze na północ, jak gdyby dążyło do stron cieplejszych. W tym także kierunku zmierzał i prąd wody morskiej w zundzie. Lekarz wyprawy, Dr Kepes, nabierał okazy żyłatek morskich: skorupiaków, polypów, holoturji, dziurkowców (foraminifera), między którymi, jak twierdził, ma się znajdować wiele odmian, wcale dotąd jeszcze nie znanych. Z wyższego rzędu zwierząt napotkano niedźwiedzie i psy, a dostrzeżono ślady lisów i zajęcy morskich. Przy brzegach morze nie miało wcale skorupy lodowej, unosiły się tylko po jego powierzchni góry z lodu, właściwie już na nazwę tę zasługujące, pierwszy raz w ciągu podróży dwuletniej napotkane. Bryły pływające widziane dawniej, z którymi przez dwie jesienie walczyć musiano, były tylko pozbijaniami z kry i nie posiadały jednorodności charakteryzującej lodowiska, biegunowi północnemu właściwe. Dla geografów góry takie były zawsze oznaką mroza nie zamrożonego, nadającego się do żeglugi; ale umysł Payera tego wątku pochwyć nie chce. Podobnie odrzuca on od siebie wnioski, jakiby wyprowadzić można z zaznaczonego powyżej prądu wodu na *Austria-Sund*. Na wspomnienie zasługuje jeszcze to, że morze przynosi do brzegów nowego ładu wielkie pnie drzewa. Toż samo wydarza się i przy brzegach Islandyi. Można by w tem zjawisku dopatrzeć wskazówkę nieprzerwalności północno-wschodniej odnogi prądu golfstromowego, który omijając Szpicberg, idzie dalej w kierunku właśnie nowo odkrytej krainy.

Nad tą krainą dziwnie tajemniczą, smutną, nędzną, martwą, wszelkiego uroku życia pozbawioną, ożywianą tylko szumem wiatrów i wrzaskiem ptactwa — słońce nie świeci tak jak nad nami; inaczej ono tam wschodzi i zachodzi, inne drogi po niebie zakresła. Linia ekliptyki panująca na naszych szerokościach geograficznych, tam jest złamaną, przetworzoną nie do poznania. Słońce nie wznosi się nigdy wyżej nad 31,5 stopni od poziomu. Podczas średniego wzniesienia na wiosnę i jesień, wysokość jego po nad ziemią w południe, dosięga tylko 8 stopni, a więc tyle, ile ma u nas w ekliptyce naczelna gwiazda naszego systematu planetarnego w porze letniej, na jedną lub półtorej godziny przed zachodem. Cały rok słoneczny rozpada się na trzy części: na dzień letni, trwający bez przerwy naszych dni 147, kiedy słońce wcale nie zachodzi, na noc zimową o 138 dniach pozbawione zupełnie światła i na dwa peryody pośrednie, po 40 dni liczące,

w których wschód i zachód następuje co dobę. Jeden z tych peryodów, wiosenny, trwa od 2 marca, do 9 kwietnia; drugi jesienny od 3 września do 13 października: w pierwszym bardzo szybko długość dnia wzrasta, w drugim maleje. W dniach: 21 (20) marca i 23 września, tak samo jak i u nas, ma miejsce porównanie dnia z nocą. Ruch pozorny słońca jest tak nagłym w peryodach przejściowych, że od porównania do stanowego kresu lata lub zimy, a więc w ciągu naszych dni dwudziestu, dwanaście godzin nocy (w peryodzie wiosennym) i tyleż dnia (w peryodzie jesiennym) zupełnie znika; zmniejszenie się wynosi na dobę 36 minut. Przez czas letniego panowania słońca na jeden wschód tylko: dnia 9 kwietnia i jeden zachód: dnia 3 września. Znajdując się ciągle na widnokregu zakresła linię spiralną — jak gdyby się pijane, nieprzytomne zataczało, szukając sobie drogi właściwej. Ta linia postępuje w górę w coraz większych skrętach, aż do dnia 21 czerwca, w którym wchodzi tak jak i u nas na punkt solstycjalny. Od tego punktu opuszcza się na dół symetrycznymi skrętami — aż wreszcie zapadłszy pod widnokrug, od 14 października nie pokazuje się już więcej.

Z powodu górzystej natury gruntu i braku odpowiednich środków lokomocyjnych, przedzierano się na północ z wielką powolnością. W końcu robiono już tylko pół mili na dzień. Sanie i psy zabrane w drogę, niejednokrotnie zamiast być pomocą, przeciwnie, ciężarem stawać się musiały. Gdyby możliwym było podróżowanie w strefie biegunowej na koniach lub mułach, niewątpliwie podróż poszłaby śpieszniej i zręcznie. Ze wzgórzystością kraju nie mało naucierać się było potrzeba. Mroz na morzu przedstawiający się tylko w natężeniu 37 stopni, tutaj do 40-stu dochodził. Żadne stworzenie nie wytrzymałoby tego, co tu wytrzymać teraz musiał człowiek, pies. Bez osłony, bez przytułku, bez stawy porządnej, bez wypoczynku istotnego, ze złem wiedeńskim obuwiem na nogach — przemykano się przez cały miesiąc po nowem terytorjum, podbijając je w ten sposób pod panowanie nauki. Igła magnesowa wypowiadała często posłuszeństwo zawodziła, nie wskazywała właściwego kierunku. Droga była ze wszech miar uciążliwą. Kiedy po dwóch tygodniach dotarto — jak się zdaje, wschodnią częścią ładu — pod 81° 35' szerokości północnej, dalszy pochód okazał się niemożliwym. Payer z dwoma innymi usiłovali iść jeszcze na północ, lecz z drogi zwrócić się musieli. Przeniesiono się na drugą zachodnią stronę ładu, aby tamtędy podstąpić jak najbliżej bieguna. Grunt grzędki i nierówny utrudniał pochód; dla bezpieczeństwa podróżnicy pozwiązywali się sznurami opasanymi na około bioder. Szli ciągle, mając przed sobą skały bazaltowe. Dnia 11 kwietnia dwa wielkie słupy skaliste — musiały one stać u wejścia do wąwozu między górami — przecięły drogę wyprawie. Nie wiadomo, czy przyjąwszy kierunek boczny, nie można było tego naturalnego muru obejść. Zapewne i tu były nieprzewyciężone trudności: łatwiej je przepuścić niż brak dalszej odwagi w podróżnikach. Wyprawa zatrzymała się nie dochodząc owych dwóch wielkich skał z bazaltu. Nazajutrz dnia 12 kwietnia, gdy zrobiono pomiary, okazało się, że szerokość geograficzna w tym punkcie dochodziła do 81° 57' minut. Do wieczora tego dnia można było zrobić jeszcze 8 minut przestrzeni. Punkt, na którym zatrzymała się wyprawa, o 48 minut geograficznych położony jest niżej na południku od tego, do jakiego dotarł Parry w lipcu 1827 roku; wiadomo, że podróżnik ten posunął się na 82° 45' w górę pod biegun. Przylądek najdalszy w nowo odkrytej ziemi nazwano *Cap Tegetthoff*, także *Cap Wien*<sup>1)</sup>. Przed zwróceniem się z drogi obejrzano jeszcze

<sup>1)</sup> W sprawozdaniu złożonym d. 29 września r. b. w Towarzystwie geograficznym w Wiedniu Payer wspomina jeszcze o paru innych przylądkach jak *Cap-Brinn*, *Cap-Frankfurt*, *Süden-Cap* będzie to zapewne owa wyniosłość z dwóch skał bazaltowych, o których tu mowa. Payer wymienia jeszcze wyspy *Hohenlohe*, *Ladenburg* oraz *Zund Rawlinga*. Wszystkie te upostaciowania geograficzne występują na karcie sporządzonej przez Payera, której ogłoszenia spodziewać się można. Dla całej krainy utrzymała się nazwa pierwotnie projektowana *Franz-Joseph's-Land*. Sprawozdanie potwierdza słuszność naszego poglądu, że wyprawa austriacka nie posunęła się tak daleko jak Parry. Payer wyraźnie mówi, że położenie geograficzne *Cap-Wien* pod 83 stopniem oznaczono tylko na oko, z wiekłej odległości (około 17 mil). (Przyp. Red.)

z wyniosłego wierzchołka okolicy, aż po za 83° stopień. Z tego obejrzenia i z wszystkich okoliczności poprzednich Payer nabrał przeświadczenia, że biegun północny nigdy dosięgnąć się nie da na drodze dotychczasowych wypraw. Ze zwiedzanej przez siebie krainy pozdejnował Payer plany geograficzne. Przed wyprawą jeszcze sływał on z dokładności w wykonywaniu prac tego rodzaju. Z dotarcia do najdalszego punktu, spisano protokół i złożono go w miejsu. Ten punkt oznaczono widoczną flagą austro-węgierską.

Wyprawa wróciła w początkach maja do stacyi, na której oczekiwano już z niecierpliwością jej przybycia. W załodze nie wielka panowała nadzieja szczęśliwego do Europy powrotu. W prostych łodziach rzucano się w wir lodów, które dla większego znacznie statku tak już groźnymi stać się umiały. Przedsięwzięcie nazwałoby potrzeba zuchwałem, rozpaczliwym, gdyby go nie była podyktowała konieczność żadnego zgoła wyboru nie pozostawiająca. „Tegetthoff“ był już straconym dla wyprawy. Pożegnano go d. 20 maja r. b. i wyruszone w drogę. Dotychczasowe przejścia i mozoły niezmien były w o-bec tego, co dopiero teraz nastąpić miało. Łodzie nalyżwione dawały tylko tę pomoc — że je ciągnąć za sobą było potrzeba. W sytki lotny śnieg, zapadali się ludzie i ich pociągi. Jedni drugich od śmierci ratować musieli; wszyscy brnęli przez zasy. Łodzie przenoszono na ramionach. Niekiedy czołgać się musiano na podobieństwo zwierząt, na czworakach, wspierając się na rękach i nogach. Gładkich powierzchni lodowych było bardzo mało. Aby się z jednej na drugą przedostać, odbywano drogę pięć razy: trzy z pakunkiem, dwie z samymi sobą. Przeciskano się pomiędzy wysokimi lodowiskami w wązkich przesmykach, które wypełniał śnieg jak najkapsprysniej ponawiewany przez wichry. Mroz straszliwie dokuczał. Podróż taka trwała już dwa tygodnie; zrobiono dopiero zaledwie siedm mil morskich (1¼ mili geogr.). Świadczy to dostatecznie o niezmiernych trudnościach, jakie zwalczać było potrzeba. Dnia 3 czerwca r. b. rozpoczęła się strefa kry pływająca. Nowe trudności, nowe niebezpieczeństwa. Posłano po czwarto czołno. Samym brzemieniem śmierci, że tak powiemy, przemyciała się mała flotylla na południe, i po upływie dwóch tygodni była już po za pasem lodów drobnych. Zmniejszyło się już teraz niebezpieczeństwo, ale nie ustały przykrości i mozoły. „Sto stóp jechaliśmy po lodzie, mówi Weyprecht, sto stóp znowu płynęli wodą i znowu z powrotem na lód wchodzili.“ i tak bez końca z łodzi na lód przekładano prowiant, wsiano i wysiadano ustawicznie, tracąc zawsze dziesięćkroć więcej czasu na przygotowania niż na samą drogę. Mroz przez ten czas mimo lata ciągle się srożył. Na dobitkę złego powstał wiatr południowy i zapędził łodzie znowu na północ, tak iż wyprawa w d. 15 lipca znajdowała się w tym samym punkcie, który opuściła przed półtora miesiącem: o 8 mil morskich od brzegu. Ile tu trzeba było wytrwałości, energii i rozsądku, aby samemu nie utracić równowagi duchowej i utrzymać ją w zbiorowisku ludzkim zawsze dość licznem, bo dwadzieścia przeszło osób liczącem!...

Nareszcie dnia 7 sierpnia r. b. powstał wiatr przychylny, wyprawa poczuła się na lodzie, pod którym płynąć musiały fale wielkiego żeglownego morza. Do 77° 48' przedzierano się jeszcze przez krę. Dnia 15 sierpnia ujrzano przed sobą pełne morze Spitzberskie (Morze Barenta).

Za to szczęśliwe wydobranie się na morze, które już mogło dać nieuludną nadzieję powrotu do Europy — biedne psy zabrane jeszcze z Wiednia — życiem swoim zapłacić musiały: dla ułatwienia sobie żeglugi pozastrzeliano je. Porzucono sanie i zaczęto żeglować. Posuwano się rąco. Dnia 16 czy 17 sierpnia ukazały się stęsknionym żeglarzom góry Nowej Ziemi, ze znacznej jeszcze odległości, bo góry są wysokie. W każdym razie jednak znajdowano się już w okolicach Europy, po za linią niebezpieczeństw nigdy nie ustających. Ale i tu czekały jeszcze podróżników niepokoje, przykrości i zawody. Żywności starczyło już tylko na dwa tygodnie. Załoga była zmordowana; sił do dalszej podróży braknąć już zaczynało. Upłynęło dni parę. Przybito do brzegów Nowej Ziemi; nigdzie żywej duszy. Pozostawiając na wszelki przypadek część zapasów na lądzie, kapitan skierował wyprawę na pół-

## PRZEGLĄD TEATRALNY.

**Molier.** — Świętoszek, komedia w 5 aktach, przekład K. Podwysockiego.

Sądźmy, że się przysłużyliśmy rzeczywiście naszym czytelnikom, gdy się rozszerzymy cokolwiek nad historią samą „Tartuffa“ (Świętoszka), która sztukę samą podniosła w swoim czasie do ogromnego znaczenia i rozgłosu, jakiego dziś, ze zmianą okoliczności, bynajmniej spodziewać się nie może.

Kiedy Boileau winał powodzenia Molierowi, po przedstawieniu *Mizantropa*, Molier rzekł do niego: „Wkrótce ujrzysz coś lepszego“. Chciał mówić o Tartuffie.

Istotnie, mistrz komedii mógł się już przekonać o sztuce swej: „Don Żuanie“, że słowa które włożył w usta Don-Żuanowi o nietykalności szarlatanów religijnych (w akcie V, scena II), były aż nadto prawdziwe.

Tartuffa przedstawionego na dworze brata królewskiego, oklaskiwał tenże, dwie królowe, wielki Kondeusz i wszyscy ci u dworu, którzy byli istotnie pobożnymi. Nawet sam król Ludwik XIV, którego wrodzony umysł był szlachetnym i nie zepsutym jeszcze przez jezuitę-spowiednika Telliera i panią de Maintenon, z niecierpliwością ulegał kabale dworskiej, nekającej go ustawicznie, iżby nie dopuścił przedstawienia Tartuffa.

Lecz w ośm dni po odłożeniu tego dzieła, dawano u dworu sztukę zatytułowaną: „*Scaramouche ermite*“, która zawierała sceny oburzające niemoralnością. „Chciałbym wiedzieć — rzekł król wychodząc do księcia Kondeusza — dlaczego ci ludzie tak wykrzykują na Tartuffa, a tak się nie gorszą Scaramouchem?“ — „Przyczyną tego — odrzekł książę — że Scaramouche wysmiewa niebo i religię, o które tym panom nie chodzi, a komedia Moliera wysmiewa ich samych, tego zaś znieść nie mogą“.

Legat papieżki i najznakomitsi prałaci, których się król radził dla spokoju swego sumienia, co do tego czy sztuka ta rzeczywiście jest niebezpieczna, zaprzeczyli temu, ale Tartuffy podwoili intrygi. Obrzydliwe pamflety zaczęły lżyć legata. „Zdawałoby się — mówi jeden z tych pamfletów — że Molier ma osobne breve od Papieża na granie sztuk śmiesznych i że legat przyjechał na to do Francji, ażeby sztukom tym dawać swoje zezwolenie.“

Ci, którzy w ten sposób zaczepiali takie figury, nie wahali się też, wprost zaprzeczyc talentu Molierowi. „Prawdą jest — pisze jeden z pamfletów wydany w r. 1665, między innymi — że jeżeli mu się nie udaje komedia, to zato ma pewien talent do farsy... prawdą też jest, że jako tako umie po francuzku i że nieźle kopiuje innych autorów, bo on bynajmniej nie troszczy się o pomysły, a piękność w jego sztukach polega wyłącznie na akcji...“ Zupewnić tak, jak się to zdarza i za naszych czasów!

A dalej pisze pamflet: „Trzeba przyznać, że Molier sam jest skończonym tartuffem i prawdziwym hipokrytą... Jeżeli zamiarem komedii jest poprawiać ludzi przez rozrywkę, to zamiarem Moliera jest gubić ich, przez rozmieszanie.“

W tym to tonie najjadliwszej i najgrubszej satyry, usiłowano zniesławic genialnego karciciela obrzydłych błędów ludzkich. Król oceniając doskonale podłość tych paszkwilów, usiłujących wnieść nawet niezgodę w jego rodzinę, usunął potem jeszcze na czas jakiś przedstawienie sztuki, obypawszy łaskami Moliera, — nie zniósł wszakże zakazu.

Dopiero nowy a bezczelny paszkwil, dopomógł do przedstawienia. Nieprzyjaciele bowiem jego wydali ten paszkwil pod nazwiskiem Moliera, a wtedy król poznał, że nie może dłużej ocalić go od nienawiści, jak tylko pozwoleniem zapoznania się ze samem dziełem. Pozwolił przeto przed wyjazdem swoim do Flandryi, iżby sztukę oddano pod sąd parteru, lecz kładąc za warunek, iżby autor głównej osoby nie zatytułował *Tartuffem*, która to nazwa jeszcze przed przedstawieniem stała się przydomkiem obelżywym dla wszystkich tych obłudników, jakoteż iżby kilka ustępów powyrzucił lub złagodził. Molier zgodził się na wszystko, — dał tytuł: „*l'Imposteur*“ (szalbierz), główną osobę na-

zwał *Panulphem*, zatarłszy wszelkie drażliwe miejsca, któreby mogły dać pochop do zaczepk.

Naturalnie, że sztuka zyskała ogromne powodzenie, lecz zarazem zwiększyła jeszcze wściekłość przeciwników. Wkrótce też Molier miał pożalować swego tryumfu. Nazajutrz, pierwszy prezydent parlamentu Lamoignon, zakazał przedstawienia; a ponieważ rozkaz był dany przez króla ustnie, więc musiano zaczekać na powtórne jego pozwolenie.

Dwaj aktorzy wysłani w deputacji do obozu do króla, otrzymali przyrzeczenie, że raz jeszcze zbadają stan rzeczy.

Fałszem zaś jest dosyć rozpowszechnionym, jakoby Molier miał przemówić do publiczności przy otwarciu zasłony: — Nie możemy dać Tartuffa, ponieważ pierwszy prezydent nie chce, iżby go *grano*. Nie uczyniłby tego nigdy Molier, już przez sam wzgląd na tegoż prezydenta, który był obywatelem zacnym i tolerantem.

Tymczasem arcybiskup paryzki wystosował dekret przeciw „Szalbierzowi“, z czego już łatwo poznać, jak potężnych miał nieprzyjaciół Molier, jak srogą walkę toczyć musiał, w której też byłby padł nieochybnie, gdyby nie protekcya Ludwika XIV.

Arcybiskup zaznaczył w dekreście sztukę, jako „bardzo niebezpieczną“, jako dającą sposobność pod pretekstem wyszydzenia hipokryzy, do oczernienia prawdziwej pobożności... i dlatego zakazał wszystkim owieczkom swej dycyezyi czytania lub słuchania tej sztuki.

Lecz Molier wytrwał nieugięty. Nieustannie oblegał króla, prosząc o pozwolenie przedstawienia komedii, niepodległe i mężnie odgryzał się zaciekle wrogom.

Rousseau w jednym ze swych listów utrzymuje, że „awantura Tartuffa wzięła początek u księżnej de Longueville“. Lecz pewnem jest, że osoba Tartuffa wzięta została z niejakiego abbé de Roquette, który później został biskupem w Autun.

Co do znaczenia samego wyrazu „Tartuffe“ mylnem jest także, jakoby pochodził on od tego, że gdy raz Molier znajdował się u legata razem z kilkoma prałatami, przekupień przyniósł trufie, a zapach tychże tak zachwycił podniebienia smakoszków, że zachwyceni i usmiechnięci, wykrzyknęli z zapałem: „Tartuffoli signor nunzio, tartuffoli.“ Kontrast powołania tych ludzi z zachwytem nad trufkami, miał podsunąć myśl Molierowi użycia tego wyrazu.

Przeciwnie. Za czasów Moliera *truffer* zamiast *tromper* mówiono powszechnie. Od tego też słusznie nazywa się *truffe* (trufła), jako owoc, który głęboko ukryty odgrzebać przychodzi z trudnością. Zdaje się też, że mówiono w XVI w.: *tartuffer* zamiast *truffer*. Tą etymologią wytłumaczyć sobie trzeba znaczenie nazwy tytułowej.

Molier postarzał się o to, iżby wykonanie komedii było jak najlepsze, sam grał rolę Orgona, a Elmire grała jego żona; przedstawienie zaś powtórne nastąpiło w pięć miesięcy po pierwszym, wśród intryg, wrzawy i przekleństw zaślepienego fanatyzmu podbudzanego zęcnie przez obrażonych intrygantów. Było to w r. 1669.

Czterdzieści cztery przedstawienia następujące jedno po drugim, nie zadowolili jeszcze gorączkowo rozciekawionej publiczności, i dziś ona jeszcze zajmuje niepospolite miejsce w repertoarze francuzkim.

W sześć tygodni potem, nieprzyjaciele Moliera nie zasypiający sprawy, wystawili w hotelu Burgundzkim sztukę Montfleuri'ego, pod tytułem: „Kobieta sędzią i stroną oskarżoną“, chcąc treścią jej istotnie ciekawą, odciągnąć publiczność od Tartuffa, a w roku 1670 ukazała się komedia przez anonimą, pod tytułem: „Krytyka Tartuffa“. Celem jej była napaść skandaliczna na główne sytuacje sztuki Moliera, zwłaszcza ze stanowiska moralnego, z czego wypadł wniosek, że autor musi być chyba wrogiem króla.

W taki to sposób rozprawiali się nikczemni wrogowie z geniuszem. Jeden posadzał go o ateuszostwo, drugi o zdradę króla, trzeci odmawiał mu zdolności, — a wszystkie te zarzuty dowodziły tylko tem większej żywotności i wartości dzieła, które i dziś jeszcze, nawet dla naszej publiczności, mieć będzie zawsze tę wagę, jaką ma utwór sztuki zna-

dnie i przez cieśninę *Matuszkin-Szar* rozdzielającą Nową Ziemię na dwie części: północno-wschodnią i południową, zawiął do wysp Barenta w nadziei spotkania tam łodzi rybackich. Lecz nadzieja zawiodła. Weyprecht postanowił krążyć jeszcze po morzu Biegunowem do dnia 27 sierpnia. Gdyby do tego czasu nie napotkał pomocy, miał się nazajutrz zwrócić ku morzu Białemu. Na trzy dni jednak przed tym terminem a po 96 dniach drogi od chwili wyruszenia z pod *Ziemi Wilczka i Zichego*, wyprawa ujrzała uwijającą się po morzu łódź rybacką. Należała ona do przebywającego w tamtych stronach shoonera rosyjskiego „Mikołaj“. Dowódzca Woronin przyjął skołatanych żeglarzy na swój pokład. Potrzebowali oni już bardzo pomocy: na wodach Nowej Ziemi spotkała ich burza, przypawiła o utratę żywności i rzucając po falach Oceanu, przemoczyła wszystkich do nitki. Znaleźli się jednak wszyscy na gościnnym statku, z wyjątkiem jednego, który jeszcze przy brzegach nowego ładu zmarł był na suchoty. Podróżnicy oświadczyli Woroninowi chęć udania się do Norwegii i tam też w przystani Wardoe na południo-wchód od Nord-Cap zarzucił shooner kotwicę d. 3 września. Tak się skończyła pełna poświęceń i trudów żegluga. Trwała ona blisko dwa lata i kwartał.

W Norwegii przyjęto podróżników ze szczerem współczuciem i żywym zajęciem umysłów. Król Oskar II zaprosił Payera do Sztokolmu chcąc z własnych ust jego wywiedzieć się o szczegóły wyprawy i osiągnięte przez nią wyniki. Król jest podobno człowiekiem wysoko wykształconym, sam pracuje umysłowo i zajmować się ma wszystkim, co ludzkie, rozumne i piękne. Payer wezwaniu uczynił zadosyć.

Dnia 22 września cała załoga „Tegetthoffa“ przybyła do Hamburga, dokąd zjechało wiele znakomitości dla powitania powracających podróżników. Wyprawiono im świetne przyjęcie. Dnia 23 września miejscowe Towarzystwo geograficzne odbyło umyślnie posiedzenie nadzwyczajne dla wysłuchania sprawozdań obu dowódców wyprawy, i z nich to głównie czerpaliśmy materyały do niniejszego opowiadania. Dnia 25 września stanęli podróżnicy na granicy austriackiej w Boguminie. Tu czekała na nich deputacja z Wiednia, tysiące mieszkańców z okolic i hr. Wilczek z udzielonymi obu dowódcom krzyżami orderu Leopolda. Cesarz Franciszek Józef w ten sposób dziękował za trudy. Już w przejeździe przez Prusy, szczególnie przez Szlązk, na każdej głównej stacji wydawano okrzyki na cześć wracających do kraju żeglarzy. Teraz już w granicach Austrii spotykały ich radosne manifestacje zbierających się umyślnie tłumów. Przyjęcie w samym Wiedniu przeszło wszelkie oczekiwania. Deputacja ministeryum wojny pod wodzą wiceadmirała, wraz z deputacją 20 sztabs-oficerów garnizonu wiedeńskiego, rada gminna stolicy z burmistrzem na czele, przedstawiciele Akademii nauk i Towarzystwa geograficznego, pierwsi obywatele miasta, wysoce urzędnicy i ludzie najpierwszych klas społeczeństwa, zbrali się po południu d. 25 września w dworcu drogi żelaznej północnej, przez cały dzień przystrajającym w wieńce, chorągwie i herby. Za nadejściem pociągu rozległy się okrzyki, zagrzmiała kapela i nastąpiła owacya jakiej oddawna nie pamiętają. Ulice do środka miasta prowadzące przystrojone były jakby na przyjazd panujących. Lud gromadził się tak tłumnie, że orszak z trudnością wielką, bardzo powolnie tylko mógł się poruszać. Oficerom załogi dano honorowe mieszkania u członków rady municypalnej. Nazajutrz wszyscy ministrowie przedlitawscy pooddawali wizyty Weyprechtowi i Payerowi. Jeszcze przed przybyciem podróżników do Hamburga, rada miasta Wiednia podjęła myśl zebrania funduszu narodowego na rzecz wszystkich uczestników wyprawy. Składki wpływają teraz już w całej niemieckiej części monarchii. Trzeba przyznać, że Austria nie okazuje się tym razem niewdzięczną — dla własnych swych synów i bierze sobie za wzór Anglię, która swemu Parremu dała życie dostatnie, zaszczytne i starość spokojną.

komity, przed wszelkimi utworami, zrobionemi do-  
raznie lub miernie.

\* \* \*

Rozpatrywać się szczegółowo w „Świątoszku“, przekroczyłyby ramy sprawozdania, jakkolwiek rozbiór taki szczegółowy, wykazujący wszystkie odcienie, składające się zwłaszcza na główny charakter „Tartuffa“, wykazałby niejedną naukę dla pokolenia młodych naszych pisarzy, rozprawiających się często zbyt ryczałtowo z głównymi charakterami, lub starających się więcej o sfotografowanie ich zewnętrzne.

Tartuffe Molierowski budzi ciekawość niezmierną przez dwa akty, a jednak nikt go jeszcze nie widzi na scenie—mówią tylko o nim sami członkowie rodziny Orgona, których stosunki wewnętrzne, spokój i szczęście zaatakowane zostały dotkliwie przez niezmierny a tajemny wpływ tego człowieka na głowę rodziny: Orgona.

Żona tegoż, jej syn i córka, przebiegła i miła pokojówka Doryna (odgrywająca w dawnych komediach rolę główną zawsze), naradzają się, jak przekonac oszołomionego Orgona, że Tartuffe obrzydłym jest rozpustnikiem, posługującym się płaszczkiem religii, ażeby pod jego zasłoną przeprowadzić cele swoje brudne i nikczemne.

Tartuffe jest bowiem chciwym majątku i dyszącym brutalną namiętnością do żony Orgona. Lecz wszystko rozbija się o zaślepienie, fanatyczne niemal symplicyusza Orgona. Zaślepienie to łatwo da się wytłomaczyć odnośnie do owej epoki — leżało ono w powietrzu, a rozszerzyło się później, przynajmniej na oko, urzędownie, gdy stary król zgłupiał pod obuchem pani Maintenon i jej powierników jezuitów. W dzisiejszych czasach, w takiego Orgona nie moglibyśmy uwierzyć, bo węzły religijne osłabły tak dalece, że żaden człowiek nie byłby tak naiwnym, iżby pod godłem religii wysnuwać chciał swe plany. Ale zbałamuconych i zaślepionych podobnie jak Orgon, przez najgorszy i najzłobniejszy często wpływ obcego człowieka, ze szkodą najbliższej rodziny — nieraz dziś jeszcze, w naszych stosunkach znaleźć łatwo.

(Dokończenie nastąpi).

## SPRAWOZDANIE Z WYSTAWY ROLNICZEJ

(odbytej w Warszawie we wrześniu 1874r.).

Na pustym zwykle i niezbyt ponętym placu Ujazdowskim Warszawianie przez kilka miesięcy letnich patrzyli na różne przygotowania do uroczystości ekonomicznej, jaką być miała w połowie września wystawa rolnicza. Pisma nie przedstawiały kolatać do umysłów tak pierwszych producentów wydających produkt rolniczy, jak i dalszych przerabiających go na wytwory przemysłu. Ci wszyscy bowiem powołani byli z prawa do uczestniczenia w wystawie, która nadto zyskała jeszcze charakter międzynarodowy przez dopuszczenie w niej udziału producentów poza krajowych działających w zakresie dla rolnictwa niezbędnym. Otóż obawiano się z początku, aby rolnictwo i przemysł rolniczy nie wystąpiły zbyt skromnie ze względu na ilość, zbyt upośledzając ze względu na jakość swoich okazów. Obawy te na pierwszym przynajmniej punkcie prędko w obec rzeczywistości zniknąć musiały. Szykowała się dla Warszawy wielka wystawa i wielki na wystawę zjazd. Przerzucając się na drugi kraniec, zaczęto nawet zbyt wiele przewidywać. Jedno z pism czasowych gotowe było nieomal namawiać wszystkich obywateli Warszawy, aby z mieszkań swoich poustępowali na rzecz gości—którzy tysiącami—jak mówiono zje-

dział mieli. Niejeden biedniejszy uważał dla siebie wynajęcie mieszkania za wielki interes — za jedyną może w życiu spekulację, w której już nie biernie ale czynnie miał wystąpić. Zjeżdżano się też od pierwszych dni września. Z każdym dniem coraz więcej dorożek z wystawcami, coraz więcej z nich produktami widzieć się dawało. Przesuwały się przez ulice całe processy przeróżnych okazów żywych i martwych, ciągniętych i ciągnionych, niesionych i wiezionych. Wystawa odwa dni opóźniona, otwartą została d. 15 września, a w tem zapowiedzianem trwaniu swoim o dni 5 skrócona, ciągnęła się tylko przez dni dziesięć.

Wspaniałością swoją, liczbą wystawców, obfitością okazów, przeszła ona oczekiwania największych nawet optymistów. Trzeba przyznać, że niezwykle piękna przygoda o wiele łaskawszą być raczyła dla wystawy niż dla innych wiosennych i letnich ekspozycji.

Powodzenie wystawy zawdzięczamy gorliwości pojedynczych członków komitetu, którzy nie szczędzili prac, starań i zabiegów, aby doprowadzić ją do tego stanu świetności, w jakim ukazała się oczom zdumionej Warszawy i licznych gości przybyłych ze stron bardzo nawet odległych.

Dzielnym także czynnikiem była tu obywatelska gorliwość wystawców, ponoszących wiele i bardzo wiele trudów i znacznych kosztów celem przedstawienia owoców swej pracy.

Wielu mogło z tej żywej otwartej księgi odnosić naukowe korzyści i widzieć skutki wynikające z umiejętnej pracy skierowanej ku podniesieniu szlachetnymi sposobami własnego dobra, a pośrednio i ku podniesieniu ogólnej summy bogactwa krajowego.

Stosownie do programatu, ogłoszonego przez komitet, wystawa składała się z sześciu następujących oddziałów podzielonych na sekcje:

1) Płody rolnicze i ogrodnicze; 2) Inwentarz żywy; 3) Płody przemysłu rolniczego i leśnego; 4) Machiny i narzędzia rolnicze; 5) Plany i modele budowli wiejskich; oraz materiały budowlane; 6) Wzorowe gospodarstwo i ruchomość gospodarza.

Obszerny plac Ujazdowski położony pomiędzy miastem a ogrodem botanicznym, przy pięknych alejach Ujazdowskich, przybrany gustownymi kłombami, przyozdobiony mnóstwem namiotów, pawilonów i baraków, nad którymi powijały flagi, w trzech czwartych częściach oddany został na wystawę. Całą południową, t. j. prawą stronę od wejścia, zajęły *Machiny i narzędzia rolnicze*, a nie mogąc się tu pomieścić, usadowiły się jeszcze w pewnej części i po drugiej stronie od bramy wchodowej. Ozdobne pawilony i niezliczona ilość najrozmaitszych maszyn, pomalowanych jaskrawymi farbami, stanowiła bar dzo okazałą, mile w oko wpadająca całość. Wiele bardzo machin, codziennie uprawiano w ruch, już to siłą koni, już działaniem lokomobil parowych.

Nie będziemy zajmować czytelniczek opisem, ani nawet wyliczaniem najrozmaitszych okazów, jakie się w tym oddziale mieściły. Można tam było znaleźć wszystkie narzędzia i maszyny użyteczne dla rolnika, począwszy od rydła askończywszy na młocarni, poruszanej lokomobilą parową, która to młocarnia nie tylko młoci zboże i oddziela ziarno od plewy, ale nadto po olbrzymim pomoście, podnosi słomę odrazu na bróg lub wysoki zasiłek stodoły. Były tam: żniwiarki, kosiarki, pługi, pielniki, spulchniacze, grabie konne i t. p.

Panowie: Goldenring, Ławicki i Rodkiewicz reprezentowali firmy zagraniczne.

Obok firm zagranicznych, występowały krajowe: Rephan i Scholtze, Wielogłowski i Bocheński, Warszawska fabryka machin, narzędzi rolniczych i odlewów, Towarzystwo akcyjne pod firmą Lilpop Rau i Löwenstein, jak również wiele innych. Porównanie wyrobów krajowych i zagranicznych doprowadza do wniosku, że firmy krajowe mogą konkurować z zagranicznymi i dostarczają niektóre maszyny ró-

wnie dokładnie wykończone, a nieraz po znacznie niższych cenach. Fabryka Lilpop Rau i Löwenstein nagrodzoną została wielkim złotym medalem. Również złoty medal otrzymała Warszawska fabryka machin i narzędzi rolniczych.

O kilku przedmiotach mających zastosowanie w życiu codziennem a umieszczonych w tym oddziale chcemy kilka słów powiedzieć.

Tak np. pomiędzy innymi zwróciły naszą uwagę *Rusztzy do pieców* i kuchni jako też całe *żelazne piecyki*, wyrobione podług pomysłu inżyniera Kaczyńskiego w warsztatach spółki Lilpop Rau i Löwenstein.

Wiadomo jak kosztownym dziś jest opał. Korzystne zużytkowanie jak największej ilości ciepła, wytwarzającego się przy kombustyi materiałów opałowych, jest więc bardzo na dobie. W miastach położonych przy liniach kolei żelaznych węgiel kamienny, a w wielu miejscowościach na wsi torf, stanowią jedyny materiał opałowy. Przy użyciu jednak węgla kamiennego, wielka ilość tak zwanego miału tworzącego się z okrucichów, jest dla konsumenta straconą, co naturalnie wpływa bardzo na powiększenie kosztów opału. Miał ten jest materiałem do wytworzenia ciepła, z powodu jednak tego, że się w małych kawałkach znajduje, pogrąża się w popiele, zatyka rusztzy, zmniejsza ciąg powietrza i wcale się nie pali.

Łatwo się o tem przekonać, rozgarniając popiół wyrzucany jako rzecz, w miastach przynajmniej, zupełnie nieużyteczną. Pan Kaczyński wpadł na szczęśliwy pomysł urządzenia rusztu zwykle dotąd płaskiego w postaci koszyka zrobionego z surowcu. Koszyk ten umieszczony w kuchence angielskiej pod pierwszą fajerką, a w piecu w miejscu dawnego paleniska, może być z łatwością poruszony za pomocą rękojeści wystającej na zewnątrz, przez co popiół opada, a drobne nawet kawałki węgla palą się z łatwością przy ciągłym przystępie powietrza wchodzącego przez popielnik, umieszczony pod ogniskiem. Materiał opałowy, którym być może i torf, wrzuca się do koszyka w kuchence angielskiej przez otwór pierwszej fajerki, a w piecu przez umyślnie urządzone w tym celu drzwiczki.

Z przedmiotów dotyczących gospodarstwa kobiecego zwróciły naszą uwagę w oddziale maszyn: *Wyżymaczka do bielizny* i *Pralnia mechaniczna* wystawiona w pawilonie fabryki Lilpop, Rau et Löwenstein.

Praktyczność wyżymaczki jest powszechnie uznana tylko cena rs. 16, wydaje nam się zbyt wysoką. Rzecz się ma przeciwnie z pralnią: cena rs. 28 stosunkowo jest umiarkowana, ale czy przyrząd ten odpowie nadziejom gospodyń wzdychających do zastąpienia prania, tej najprzykrzejszej ręcznej pracy, machiną, nie wiemy.

Na wprost wejścia, wśród gustownie urządzonej kłombów, znajdował się wodotrysk, w bassenie którego pływały czarne łabędzie, gęsi łabędziowe i śpiewające kaczki. Wszystkie te okazy nie należące do żadnego konkursu, nadesłane zostały przez hrabiego Branickiego. Wodotrysk licznych zawsze miał spektatorów.

Nieopodal wodotrysku, mieścił się pawilon komitetu wystawy, z emblematami rolnictwa i gustowną estradą do otwarcia wystawy i rozdawania nagród.

Powszechną uwagę zwracał stojący nieopodal pawilonu olbrzymi obraz kwitnącej *Agawy*, niewłaściwie zwanej powszechnie aloesem. Roślina to wspaniała; po 80 latach życia wypuszcza łodygę kwiatową, wznoszącą się na stóp kilkanaście, obficie obspaną kwieciami. Po okwitnięciu roślina kończy swój żywot.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści *Middlemarch*.

TREŚĆ: Osobiste wspomnienie z życia Maryi Somerville, (dalszy ciąg). — *Niewiasta polska*, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — *Sofonisba*, tragedia, (dalszy ciąg), przekład J. Grajnera. — *Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie*, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — *Wyprawa austriacka do bieguna północnego*, (dokończenie). — *Przegląd teatralny*, przez Edwarda Lubowskiego. — *Sprawozdanie z wystawy rolniczej*.